

Wychodzi we Lwowie każdego miesiąca. Wkładka roczna z prenumeratą wynosi 2 k. 40 h. Dla nauczycieli członków Tow. i uczniów tylko 1 k. 40 h. z przesyłką 1 k. 64 h.

MIESIĘCZNIK

Galiczyjskiego Towarzystwa

OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracja i ekspedycja we Lwowie ul. Grottgera 4. Wszystkie pisma wkładki i prenumeraty należy adresować do prezesa A. Mussila, ul. Karola Ludwika 7.

Organ galicyjskiego i stanisławowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt, zostającego pod protektoratem J. E. Leona hr. Pinińskiego. Czasopismo polecone dla szkół reskryptem c. k. Rady szkolnej krajowej we Lwowie z 30 listopada 1909 L. 35.255

Redaktor: **Józef Białynia Chołodecki** Lwów, ul. Sykstuska I. 62.

Redakcja otwarta w dniu powszednie od 2—3 popołudniu.

Upraszamy uprzejmie o jednanie członków dla Galic. Tow. ochrony zwierząt. Wkładka roczna 2 K. 40 h.; w zamian otrzymują członkowie rocznie 12 półtoraarkuszowych zeszytów „Miesięcznika“. Zapisywać się można u prezesa Adolfa Mussila ul. Karola Ludwika 7 I. p. u wiceprezesa Józefa Białyni Chołodeckiego ul. Sykstuska 62 I. p. (od 2—3 popoł.) i u sekret. Marji Mazurkówny ul. Na Skałce 1, parter.

Józef Białynia Chołodecki.

Dom rodzicielski a ochrona zwierząt.

Opiekunowie zwierząt narażeni są niejednokrotnie na uszczypliwe uwagi: „Czemu uprawiacie opiekę nad zwierzętami? Zwróćcie wasze oczy na ludzi! Tutaj tyle jest do poprawy, tyle do pomocy, tyle niewłaściwości do zmiany, tyle nędzy do złagodzenia, że zaprawdę, niewiedzieć, od czego zaczynać. Czyż człowiek nie jest czemś lepszym od zwierzęcia? Czyż nie idzie z porządku nasamprzód człowiek, a potem zwierzę?“

I mniemają owi niewcześni krytycy, że Bóg wie jaki zadali kozer i zagwoźdźdźli jednym argumentem całą kwestję ochrony zwierząt.

A tymczasem przyznają sami, że chcąc poprawić dolę ludzi, nie wiedzą od czego zaczynać.

Zaczynać należy od źródła, od rozsadnika, od posiewu przyszłych obywateli kraju, którzy zaprawiając swe nerwy w latach dziecięcych na bezbronnych zwierzętach, są w wieku dorosłym plagą, udręczeniem ludzi, powodem wielu nieszczęść, wielu złego, jakie grasuje po świecie. A że wychowawcami, mentorami, kierownikami poglądów, zapatrywań, uprzedzeń i charakterów tego posiewu przyszłych obywateli kraju są ich rodzice i inni ludzie dojrzały, a więc i na nich należy wpływać w dodatnim kierunku, uszlachetniać ich uświadamianiem, pod względem bólu i cierpień zwierząt, pod względem stosunku człowieka do innych stworzeń bożych, pod względem godziwego sposobu używania zwierząt i w ogóle darów przyrody dla swoich celów. Jeśli sami nabiorą stosownego, zbożnego, o stanie rzeczy pojęcia, to i w dzieci będą wszczepiać humanitarne, zbożne zasady, będą uszlachetniać ich charaktery.

Propagowanie idei ochrony zwierząt jest więc jednym z ważnych czynników ogólnego znaczenia dla społeczeństwa, jednym z środków wiodących do rozbudzenia ducha i pojęć humanitarnych, niezbędnych dla łagodzenia ludzkiej niedoli.

Naprzeciw wypowiedzanego nierozważnie zdania: „nie ochrona zwierząt, raczej ochrona ludzi“, stoi na życiowym oparty doświadczeniu, niezbity pewnik, iż »ochrona zwierząt jest ochroną ludzi«.

Kto opiekuje się zwierzętami, działa pod wpływem współczucia. Ciepłe serce jego, każe mu łagodzić cierpienia, radować się z radującymi, dzielić w swej duszy dołę nieszczęśliwych. A czyż taki człowiek byłby zdolny zająć odwrotne stanowisko, w chwilach, gdy widzi dołę nieszczęśliwego bliźniego? Nie. . prawdziwy przyjaciel i opiekun przyrody nie zawiedzie nigdy, gdy się rozchodzi o opiekę nad człowiekiem, o kojenie jego cierpień, o osuszenie jego łez.

Wielki poeta niemiecki i niepospolity uczony Gotthold Lessing, któremu pełne życia i prawdy twory pióra zdobyły nieśmiertelne w świecie imię, wyrzekł pamiętne dla nas słowa: »Współczucie dla zwierząt, stoi z dobrocią charakteru w tak ścisłym związku, iż z całą można twierdzić pewnością, że kto jest surowym dla zwierząt, nie może być dobrym człowiekiem. A współczujący człowiek, jest człowiekiem najlepszym. Kto wykształca w nas współczucie, czyni nas lepszymi i cnotliwszymi«.

Lecz czy zawsze pojmuje, rozumie rodzicielskie serce te niebotyczne obowiązki jakie ciążyą na niem przy wpajaniu zasad w dziecięce umysły, przy kształceniu ich charakterów? Dzieci nazywać swemi, boskim jest darem, nieocenionym skarbem, lecz trzeba pamiętać, że dziecię jest zawiązkiem człowieka. Harcząca wokół nas dziatwa, jest to najbliższe pokolenie, jest to pokolenie, które dojdzie do steru, stanie na wyżynie wtedy, gdy my będziemy już u kresu naszego działania, naszego tworzenia. Jakiż może pragniemy mieć najbliższe nasze pokolenie, nasze dzieci? Czy zimnym, bez serca Spartańczykiem, czy żądnym używania i rozkoszy Ateńczykiem, czy raczej człowiekiem zasad, o ciepłym sercu, dzielnym i zadowolonym z życia i czynów. — Leży to w naszych rękach. — Czy pojmujesz ty, słodkie serce rodzicielskie, ten ogrom twojego zadania?

Zapytasz się może ojczy lub matko:

— Na miłość Boga, cóż mam więc czynić, jak wychowywać moje dzieci, by mieć z nich później pociechę, by widzieć je godnymi członkami społeczeństwa?

Odpowiadamy na to:

— Nie można udzielić tego, czego się samemu nie posiada.

Bądźcie więc w pierwszym rzędzie sami ludźmi o ciepłym sercu, a wychowacie wtedy godnie wasze dzieci. Własny dobry przykład najlepszym jest w tej mierze pedagogiem.

Wiemy wszyscy, że małe dzieci są z natury okrutnymi, zraniami wobec zwierząt, a i w obec ludzi. Droczenie, dokuczanie, widok cierpień i męka sprawia im przyjemność. Od pierwszego zarania życia należy więc dziecięciu wytłumaczyć w łagodny, lecz stanowczy sposób, że nie wolno innym zadawać cierpień, nie wolno dręczyć ani człowieka, ani zwierzę.

Dziecię myśli np., że Stwórca dał jedynie w tym celu ogon kotowi, aby było za co szarpać. Poucz je zawczasu, ale i sam obchodź się po przyjacielsku z zwierzęciem. Nie pozwól dzieciom obnosić na rękach psy i koty; nie obejdzcie się bowiem wtedy bez dręczenia.

— Mamusiu — żali się przed tobą dziecię — »Wiernus nie chce się dać złapać«, — poucz je wtedy słowami:

— Widzisz, dokuczałeś »Wiernusiowi«, dlatego od ciebie ucieka.

Uwiła nad twym oknem gniazdko jaskółeczka, pokaż je z dała dziecięciu, raduj się z niem razem widokiem lubości tych stworzeń, poucz je, że ptaszę jest nam miłym, życzliwym stworzeniem, więc i my winniśmy mu tą samą odpłacać życzliwością.

Bacz dalej skrzętnie, by dzieci nie były zwierząt, by je nie przeklinały. Niech mają dla nich przyjaźne zawsze słowa, niech je same ochotnie karmią i pilnują godzin ich żywienia, a powstanie miły stosunek między światem dziecięcym a zwierzęcym — a dziecię się uszlachetni.

W pierwszym rzędzie zaś wychowuj tak dzieci, by rozkosz im sprawiał widok pięknej przyrody świata. Ucz je, jak każde, najmniejsze nawet stworzenie, najniklejszy robaczek ma swój cel w wszechświecie. Wszczepiaj w twe dzieci święty respekt przed życiem w przyrodzie. Wychodź z niem w pole, zwracaj uwagę jego na wszystko, co lata, biega i pełza wokoło. Nie pozwalaj mu jednak samemu czynić niepotrzebnie zbiorów i zabijać w tym celu zwierzęta; dręczenie ich i tępienie uczuć ludzkich u dziecięcia jest bowiem wtedy nieuniknionem. Kupuj mu raczej barwne wzory i podobizny, daj mu do rąk dalekowiedze, niech podpatruje z odległości życie i ruch stworzeń. Nic nie działa tak uszlachetniająco na młodzież, jak styczność z piękną przyrodą. Szkolna, umiejętna ręka profesorów, lub pod ich kierownictwem spreparowane zbiory pouczają z drugiej strony młodzież szczegółowo o wyglądzie i budowie okazów i warunkach ich życia.

Nie pozwalajcie też dzieciom bawić się łowieniem ryb; oddziałowuje ono przytępiająco na serce młodzieży, a jeśli im chcecie ofiarować akwarjum jakie lub terrarium, nauczcie się pierwszej sami obchodzić z temi zwierzętami.

Szlachetnym niech będzie człowiek, dobrym i ofiarnym w pomocy, to bowiem stawia go ponad inne istoty i twory!

Andrzej Berezowski.

Hodowla zwierząt domowych w Polsce przedrozbiorowej.

(Ciąg dalszy).

Jeśli zatem przypuścimy, że obecne, bardzo pierwotne było włościanina polskiego jest mniej lub więcej zmienio-

nym potomkiem przedhistorycznego bydła polskiego, a przypuszczenie takie jest najzupełniej uprawnione, to dojdziemy do wniosku, że znaczną część tego przedhistorycznego bydła stanowiło bydło o wybitnie wązkim czole, stosunkowo drobnych kształtów, maści przeważnie czarnej, czerwonej lub płowej. Na południowych kresach dawnej Polski bydło to spotyka się z bydłem siwym i stepowem i być może, krzyżując się z niem, wytwarza formy pośrednie. Rostafiński pisze o maści płowej przedhistorycznego bydła polskiego, widząc w niej cechę dziedziczną po płowej maści przypuszczalnego przaszczura tego bydła — tura, który dopiero w XVII. wieku znikł z puszczy polskich.

O przedhistorycznych owcach polskich jeszcze mniej doszło do nas wiadomości, niż o bydle rogatem. Przytem brak nam zupełnie badań nad współcześnie zachowaną w niektórych dzielnicach polskich pierwotną owcą polską. Prawdopodobnym jest domysł, że tak zwana chłopska owca polska jest bezpośrednim potomkiem owcy przedhistorycznej. Według Rostafińskiego, runo owcy w Polsce przedhistorycznej było czarne.

Wyżej dwukrotnie już zaznaczoną hipotezę o pokrewieństwie między współczesnymi, pierwotnymi, a przedhistorycznymi zwierzętami domowymi, można, jako niemal pewnik, powtórzyć, pisząc o świniach. Świnia na ziemiach Polski przedhistorycznej była niewątpliwie potomkiem dzika, a protoplastą dzisiejszej świni polskiej, zachowanej jeszcze gdzieś po odleglejszych od wielkich ośrodków kulturalnych zakątkach. Było to zwierzę o długim łbie i długich nogach, karpioватым grzbiecie i płaskich bokach, mocnem i długiem uwłosieniu, niezwykle wytrwałe, ruchliwe, silne i zahartowane. Zdaniem Chaniewskiego, posiadamy dwa typy świni pierwotnej: mniejszy, krótkouchy i większy, o długich, kłapciastych uszach.

Przechodząc do roztrząsania zagadnienia o czasie, w którym zwierzęta domowe już oswojone, otaczały mieszkańców Polski przedhistorycznej, znów wrócić muszę do badań archeologicznych. W jaskini górnej w Okopach nad Prądnikiem, Czarnowski znalazł bardzo mało strzałek kamiennych, co skłoniło go do przypuszczenia, że przedhistoryczni mieszkańcy tej jaskini trudnili się przeważnie pasterstwem, a mniej my-

śliwstwem. Zatem, zdaniem Czarnowskiego, mieszkańcy jaskiń okolic Ojcowa w okresie neolitycznym, posiadali już oswojone zwierzęta domowe. Także według Choynowskiego oswojenie konia, bydła rogatego i owcy przez przodków Słowian odbyło się w okresie neolitycznym. Twierdzenie powyższe rozumieć można tylko w sposób taki, że w okresie neolitycznym zaczęto próbować oswojania zwierząt, złapanych na łowach, by te z nich, które były najbardziej przydatne, stopniowo przyzwyczajać do współżycia z człowiekiem.

Z poglądów, wyżej przytoczonych, wysnuć można domysł, że zwierzęta domowe były, przynajmniej częściowo, oswojone na miejscu. Przypuszczam, że tak było w istocie. W minionym stuleciu było bardzo rozpowszechnione przekonanie, że zwierzęta domowe przybyły do Europy już oswojone z Azji środkowej. Cenne badania Sansona, Nehringa, Adametza, Kellera i Duersta stwierdziły natomiast, że wyprawianie z Azji, jako z jednej wspólnej kolebki, domestykacji wszystkich zwierząt domowych jest bezpodstawne i że niektóre przynajmniej rasy były oswojone w Europie. A więc w Polsce przedhistorycznej mogło się odbyć stopniowe oswojenie niektórych zwierząt domowych. Niezależnie zaś od tej tubylczej domestykacji z Azji i mogły nadciągnąć do ziemi przyszłej Polski inne, już oswojone zwierzęta domowe, które mogły się krzyżować z miejscowymi zwierzętami swojskimi.

Mamy zresztą podstawy do twierdzenia, że wysiłki nad oswojeniem zwierząt domowych, rozpoczęte na ziemiach polskich, mniej więcej w okresie neolitycznym, przeciągnęły się jeszcze przez późniejsze wieki historycznego istnienia Polski. Świadczą o tem notatki gospodarskie Anzelma Gostomskiego z drugiej połowy XVI. wieku. W tych notatkach znajdujemy wskazówkę, że kaczki dzikie można oswoić, należy je tylko „dług o, dobrze i pilno chować“.

Spróbuję teraz określić, jakie mianowicie zwierzęta mogły być oswojone w Polsce. Wyżej nadmieniałem już, że jeszcze w XVIII. wieku łapano na kresach polskich dzikie konie. Według K. Szajnochy dziki koń w wieku XV. był pospolitym mieszkańcem puszczy litewskich, a w XVIII. wieku dochodził do nadodrzańskich wybrzeży. Nie ulega tedy wątpliwości, że Polska przedhistoryczna obfitowała w stada dzikich koni.

Ztąd wynika bardzo uzasadnione przypuszczenie, że mieszkańcy zarówno puszczy, jak i południowych stepów, konie te łowili i następnie powoli oswoić usiłowali. Co się tyczy bydła rogatego, to z dwu grup, których istnienie na ziemiach późniejszej Rzeczypospolitej stwierdziłem, grupa bydła siwego stepowego, pochodząca od tura, była udomowiona w Europie, lecz trudno dziś orzec, czy próby udomowienia tego bydła odbywały się także na ziemiach polskich.

Inaczej rzecz ma się z drugą grupą bydła, grupą typu krótkorogiego (*brachyceros*). Według Adametza pierwotne rasy bydła rogatego tego typu, pochodzą od dzikiego bydła krótkorogiego, rozpowszechnionego w okresie dyluwialnym w Europie środkowej. Czaszka bydlęca wykopana w Krzeszowicach pod Krakowem, jest zdaniem Adametza szczątkiem tego dzikiego bydła. Jeśli powyższe twierdzenie Adametza jest słuszne, to nie ulega wątpliwości, że krótkorogie bydło Polski przedhistorycznej było oswojone w znacznej części na miejscu. Być zatem może, że nie tylko bydło siwe stepowe, lecz i inne rasy polskiego bydła krajowego, dotychczas względnie mało znanego, pochodzą od tura. Puszcze polskie aż do wieków średnich przechowywały tura, a w Polsce przedhistorycznej tur był zapewne nie mniej rozpowszechniony, niż dziki koń, żubr lub dzik. Ponieważ zaś tur był powszechnie w Europie osvajany i jest uważany za protoplastę bardzo licznej grupy swojskiego bydła rogatego, więc być może, że i w Polsce przedhistorycznej były czynione wysiłki ku oswojeniu tura. W takim razie wyżej przytoczone przypuszczenie Rostafińskiego o płowej maści przedhistorycznego bydła polskiego, maści, jakoby po płowym turze odziedziczonej, byłoby słuszne.

Brak wszelkich wiadomości nie pozwala mi, niestety, nawet kusić się na skreślenie obrazu oswojenia owcy polskiej. Nadmienię tylko, że według wszelkiego prawdopodobieństwa pochodzi ona od muflona i była oswojona w Europie. Natomiast nie ulega wątpliwości, że świnie polską oswojono na miejscu, protoplastą zaś jej był jak to wyżej zazaczyłem, bardzo rozplemiony w Polsce dzik. By skończyć z kwestją oswojenia zwierząt domowych w Polsce, pozostaje mi jeszcze poświęcić kilka słów ptactwu domowemu mianowicie: gęsiom kaczkom i kurom. Indyk przedostał się do Polski dopiero

w połowie XVI. wieku. Zdaniem Malsburga gęś pochodzi od szarej formy dzikiej, kaczka zaś od dzikiej krzyżówki. Wyżej przytoczyłem notatkę gospodarską z XVI. wieku, która dowodzi, że oswojanie dzikich kaczek było w użyciu w Polsce historycznej. Tembardziej w Polsce przedhistorycznej oswojano powszechnie dzikie gęsi i kaczki. Nie można tego twierdzić o kurze. Prawdopodobnie protoplastą naszej kury jest „bankhiva“, kura indyjska rdzawa. Otrzymaliśmy ją oswojoną z Azji, przypuszczalnie za pośrednictwem Scytów.

Na południu na stepach, na północy na torfiastych łąkach, oraz na pastwiskach wśród bezmiernej puszczy wypasał pierwotny mieszkaniec ziem późniejszej Rzeczypospolitej swe stada koni, bydła rogatego i owiec. Do lasów dębowych i bukowych pędził on swe wieprze, by tam same szukały sobie pożywienia.

Do zabezpieczenia stad od złego sąsiada lub dzikiego zwierza służyły „obory“, czyli miejsca oborane, znajdujące się obok pierwotnych chat osady, albo jak twierdzi Rostański pośród chat. Gdy pastwiska, otaczające osadę nie wystarczały na wyżywienie stad, pędzono stada na odleglejsze pastwiska, wygacając przepaścistą drogę, nieraz na wielkich przestrzeniach, pękami łozy lub kłodami drzewa. Na noc w letnią porę i w bezpiecznych chwilach nie pędzono bydła do sioła, ale w bliskości pastwiska urządzano oborę, rowem otoczoną i czuwano w nocy obok bydła przy ognisku lub pod prostym, skórą okrytym szałasem (według Rostańskiego).

Zwierzęta domowe stanowiły przeważną część majątku pierwotnego mieszkańca Polski i zaspakajały znaczną część jego potrzeb. Skóry nadawały się na szatę, skórnie. okrycie puklerzy i t. d., wełna na odzież, mięso i mleko na pokarm, a na stepach wysuszony krowieniec na opał. Konie i bydło rogate dostarczały siły pociągowej. Zwierzęta domowe składano bogom w ofierze. Na południowych kresach dochowało się do historycznych czasów obyczaj składania do grobu wraz ze zmarłym mężczyzną ulubionego jego wierzchowca. Zwierzę domowe miało towarzyszyć zmarłemu w życiu pozagrobowem. Takim był stan hodowli zwierząt domowych w Polsce przedhistorycznej do czasów powstania państwa polskiego

i początków różniczkowania się stanów, gdy ciężar zabiegów koło wychowu zwierząt domowych przeważnie spadł na nierycerską ludność wieśniaczą.

II. Okres drugi (X—XV w.).

Okres dziejów polskich od powstania państwa aż do drugiej połowy XV wieku, jest czasem rozkwitu gospodarstw drobnych, kmiecych. Właściciel dużych dziedzictw szukał względów u dworu panującego, lub niósł służbę rycerską nie raz na krańce ojczyzny, kmieć zaś siedział na roli, której był jedynym gospodarzem, poza daninami, składanemi na rzecz pana, był li nim król, dziedzic świecki lub też duchowny. Tak wybitny znawca historii wsi polskiej, Potkański, twierdzi, że w onej dobie folwarków dworskich albo wcale nie było, albo jeśli i były, to bardzo drobne i oparte przedewszystkiem na czynszu. Kmieć był zobowiązany uprawiać rolę folwarczną i zwieźć siano z łąk, tudzież zboże z pola. Folwark obchodził się zatem bez inwentarza roboczego. Potrzeba koni do wypraw rycerskich, oraz wrodzone upodobanie sprawiły, że jedynie chów konia był powszechnie i z wielkiem zamiłowaniem przez większą własność prowadzony. Pozatem hodowla zwierząt domowych, jak cała wogóle wytwórczość rolna, leżała w rękach drobnych rolników.

C. d. n.

Olga Billińska.

Gołąbek.

(Wspomnienie burzy.)

Czemu drżysz biedny mój gołąbku mały,
I czemu zmgłone są ocząt twych tonie?
Wszak słońce świeci, wesoły świat cały,
Do syta ziaren sypią moje dłonie;
Dzióbek różowy serdecznie całuję
I nowych pieszczot, sto znów przygotowuję.

Dziś pragnę dzielić ptasie twe marzenia,
Tajemnych myśli odgadnąć prawątek,
Wiedzieć przyczynę twojego smucenia.
I wejść prześlicznie w serca twego kątek;
Czy cię co boli? żeś taki jest cichy,
Jak te na grzędzie kwiatów cud — kielichy.

Serce ci puka tętni niepokojem
Coś drży w powietrzu i coś w dali błyska
Ptaszku odwagi na sercu ty mojem
Położysz główkę, będę tobie blizka;
W cichym pokoju sen znajdziesz, schronienie,
Przeżyjem razem złotych strzał olśnienie.

Ha — wicher powionął, — tuman skręcił z piasku,
Oddechem żarnym powalił dokoła
Kwiatów korony, te co w zorzy blasku
Rozkwitły dzisiaj i narzucił w zioła
Ciężar upału — popędził w przestworza
Zwycięstwa żądny, biały wicher z nad morza.

Nie martw się ptaszku, że tęczowe chwile
Zagasty, i że słoneczne promienie
Zakrył chmur turban; że znikły motyle,
A kwiaty ronią słodkie znów westchnienie,
I że natura dziwaczne drży tętnem
Za czemś co przyjdzie, co jest niepojętnem.

Strugi srebrzyste już zalały ziemię,
Opary lekkie pomknęły ku górze,
Nie drżysz gołąbku, nie puszczę ja ciebie,
Nie poszybujesz w tej żałobnej chmurze,
Aż niebo będzie jak wiosny marzenie,
A tęcza rzuci siedmiobarwne lśnienie.

Wiedz ptaku biały: życia tak podróże
Przez wichry idą, zamiecie, złe drogi,
Prze skalne źleby i ciernie, nie róże,
Szarugi deszczu i burzliwe trwogi;
A każde serce: to harfa jest drżąca,
Na której zawód plony swe roztrąca.

Niech cię nie łudzą nigdy nieb błękitny,
Pogoda cudna, gorących słońc blaski,
Bo tam mocarny jest piorun ukryty --
Zygzakiem złotym przetnie dróg twych brzaski,
I wzniesi burze, co zmaczą marzenie,
I smutkiem przerwie ciszy twej istnienie.

Zwierzęta przed sądem.

Wypadło już z ludzkiej pamięci, że w drugim tysiącleciu ery chrześcijańskiej stawiano nieraz zwierzęta domowe: konie, woły, krowy, nierogaciznę przed trybunałami sądowymi, za zbrodnie popełniane na ludziach, i karano je tak, jak gdyby obowiązywała je ludzka moralność. Fakt ten przypomniał francuski historyk prawa Berriat-Saint-Prix, który zebrał procesy karne, wytaczane zwierzętom we Francji od 1120 do 1740 roku. Sprawozdanie z tej książki, podane w „Głosie Narodu“, przytacza sporo ciekawych i zabawnych dla nas szczegółów tej działalności jurydycznej. Oskarżone zwierzę traktowano bardzo poważnie. Przedewszystkiem więc pozbawiano je osobistej wolności, czyli, mówiąc językiem lwowskich „buchaczy“ (złodziei), brano je do „ula“. Następnie prowadzono śledztwo, a w końcu najuroczyściej w świecie sądzono. Oczywiście trybunał zasiadał w togach, prokurator oskarżał, obrońca rozczulał sędziów, a delikwent, przybrany w szaty ludzkie, udawał niewiniątko. Przesłuchiwano świadków, odczytywano akta, wygłaszano mowy i w końcu zapadał wyrok.

Wyroki zawsze były surowe.

W r. 1386 wyrokiem sądowym w Falaise skazano na śmierć maciorę, która pożarła dziecko. — Powieszono ją na rynku miejskim ubraną w suknie kobiece. Kat dostał wynagrodzenie, jak za człowieka: 10 soldów i 10 denarów, oraz czerwona rękawicę. — W trzy lata później stracono w Montbar konia, który uderzeniem kopyta zabił swego pana; zaś w kilkanaście lat później byk, który się wyrwał z rąk rzeźnika i „zabił z wściekłą furją człowieka“ został na rozkaz hr. Karola Valois schwytyany, osądzony w Noisy le-Temple. W r. 1494

naczelnik gminy w Saint-Martin pod Lyonem, wydał wyrok śmierci przez powieszenie na prosiaka, który wygryzł twarz dziecku w kolebce. W tym wyroku powiedziano, że zostaje wydany w tym celu, aby „był odstrasżający przykład”.

Przytaczamy jeszcze jeden, w wysokim stopniu dziwny wyrok, o wiele nawet dziwniejszy od tamtych. Oto zanotowano w „Małej kronice bazylejskiej” proces wytoczony przeciw pewnemu kogutowi za to, że zniósł jajo. (Znany jest rozpowszechniony przesąd w średnich wiekach, że kogut może znieść jajo, z którego wylęga się bazyliszek). Kogut „przekonany” o swojej winie został „wraz z jajem” inkryminowanem spalony na stosie w obecności wielkiego tłumu, który wydawał okrzyki radości. Niekiedy wytaczali mieszkańcy pewnych okolic wiejskich procesy całemu rodzajowi owadów, które czyniły im szkody w polach i ogrodach. Tego rodzaju procesy wnoszono przed trybunały duchowne. Oskarżone owady wzywano, aby się na sąd stawiły; czyniono to przez woźnego, który jak nakazywało ówczesne prawo — udawał się do miejsca zamieszkania oskarżonych.

Trybunał wyznaczał następnie dla nich kuratora, który dobierał sobie adwokata, — mającego bronić swych klientów: gąsienic, chrabąszczy, żuków itp. Czasami oskarżyciele proponowali robactwu zgodę, odstępując mu pewien kawałek pola, sadu lub winnicy w zamian za to, że nie będzie reszty pustoszyło.

Gdy się dziś zdaje relację z takiego procesu, to wydaje się on czemś niebywale dziwnym, wprost niemądrem, a przecież wówczas brano je zupełnie na serio. I tak, np. właściciele winnic w St. Jean-de-Maurienne wytoczyli proces 1587 roku owadom, niszczącym ich posiadłości, które nazwali: verpillons i amblevins. obrońca tych owadów wykazywał w swem przemówieniu, że ponieważ one mają prawo do życia, przeto wolno im dla własnego utrzymania niszczyć łożę winną. Oskarżyciele uznali rację adwokata owadów i pozostawili im kawałek winnicy, gdzieby mogły zdobywać sobie pożywienie.

W innym zaś procesie, wytoczonym w okolicach Mazence przeciw kantarydom, sędzia wyznaczył im także kuratora, zważywszy, „iż są słabego ciała i bardzo młode, a zatem powinny korzystać z ulg, przysługujących osobom małoletnim”. I im także wyznaczył sąd teren, na którym mogły swobodnie przebywać i szukać sobie tam pożywienia.

Jakie korzyści moglibyśmy mieć z żórawia.

Żóraw jakkolwiek należy do najdzikszych przedstawicieli z pośród znanych ptaków — pisze warszawski „Rolnik i Hodowca“ — gdy zostanie schwytany, w niewoli szybko potrafi się przystosować do nowych warunków.

Chowany pośród ptactwa domowego potrafi żyć z niem w zgodzie, a co jest charakterystycznym, że nie znosi żadnych swarów pośród współtowarzyszy. Bijące się ptaki momentalnie rozbraja, mało tego, nie znosi wron, kotów i szurów, których odstrasza krzykiem, nie szczędząc uderzeń dzioba, gdy tylko nim dosięgnąć zdoła, dalej potrafi wodzić na pastewniku stada gęsi i indyków, pod wieczór zaś spędza je do gromady i z powagą prowadzi do domu.

Jest to ptak niezmiernie przywiązujący się do swego pana, za człowiekiem, który dba o niego i daje mu jedzenie, będzie chodził jak pies za panem, pozwala się głaskać i dotykać, okazując przytem pewne oznaki zadowolenia. W niewoli żyje bardzo długo.

Przyswajac się zwykło tylko młode żórawie, które wybierać należy z gniazd w drugiej połowie czerwca. Wyszukanie jednak gniazda nastęrcza dużo trudności, gdyż samica wije je w gęstej trzcinie, lub tataraku, wśród błot i miejsc najmniej dostępnych — często omawiane gniazdo znaleźć można pośród krzaków olszowych. Dopiero w trzecim roku życia dochodzi żóraw zupełnego rozwoju. Wychów zaś młodego żórawia nie jest znowu nazbyt trudny.

Karmić go można wszelkiem ziarnem zbożowym lub grochem — chętnie pożera żaby, jaszczurki, myszy, krety i przeróżne owady. Główną jednak uwagę należy zwracać na to, by młody ptak się nie przeziębiał. Zwłaszcza niebezpiecznym okresem dla młodego żórawia jest wczesna wiosna, w tym czasie bowiem w dniu słoneczne żórawie chętnie brodzą po kałużach, powstałych z tającego śniegu, gdy zaś skryje się w cieniu, łatwo swe nogi przeziębia, co staje się tem niebezpieczniejszym, że odmrożenie, ewentualnie nawet przeziębienie nóg, zwykle bywa dla żórawia wypadkiem śmiertelnym.

Natomiast jedyną wadą, jaką żóraw posiada, jest jego nieprzeparty pociąg do zjadania jaj, a wobec tego dostęp do wszelkich gniazd, a tem samem miejsc, gdzie się drób niesie, winien być dla niego utrudnionym i uniemożliwionym.

U nas w Galicji o żórawia dość trudno, a jakkolwiek zalety tego ptaka przemawiają za oswojeniem go, to przecież ze względu na szkody, jakie on czyni w gospodarstwie, trudne byłoby z nim pożycie. A kryjąc przed nim wszystko, strzegąc się jego łakomstwa na każdym miejscu, chroniąc go przytem od krzywd, do jakich skłonna jest dziatwa nasza na wsi, absorbowałby on tak gospodarza, że cały zachód jego nie opłaciłby się za garstkę usług żórawia. Kto jednak dla własnej przyjemności oswoiłby sympatycznego tego ptaka, ten miałby rzeczywiście pociechę z humoru i zaradności żórawia, o którym w Rosji piastunki opowiadają dzieciom ładne bajki, a pisarze rosyjscy poświęcali mu już nieraz całe strony opisów w swoich dziełach.

Władysław Matkowski.

Ochrona koni przeciw owadom.

Odnośnie do notatki o „ochronie koni przeciw ukłuciu owadów“ pozwolę sobie zauważyć, że podane w Miesięczniku „G. T. O. Z.“ środki nie są praktyczne i stosunkowo są drogie. Wszelkie maście są już dlatego nieodpowiedne, że tłuszcz zmieszany z kurzem — zalepia otwory w skórze. Najlepszym i najpraktyczniejszym środkiem, który stosuję od lat kilku u koni i bydła rogatego, jest roztwór 2% kreoliny. Na litr wody daje się 20 gm. czystej kreoliny, którą w droguerji nabyć można po 1.60—1.80 za klg. — Rozpuścić najlepiej od razu kubał cały 10 litrowy i roztworem tym zmywać całego konia. Działanie kreoliny jest nie tylko desinfekcyjne i znakomicie odczyści skórę zwierzęcia, lecz goi wszelkie ranki i liszaje, ponadto skóra zatrzymuje, w czasie pogody co najmniej przez tydzień, silną woń karbolu i kreozotu, która wszelkie owady trzyma zdala od zwierzęcia spotniałego.

Proszę więc zalecić zmywanie powyższym roztworem a zaręczam, że nie tylko konie będą wdzięczne za ochronę przed

plagą much, ale i woźnica, bo często myty koń rozczynem kreoliny, traci zupełnie łupież i gryzący skórę brud, woźnica więc ma ułatwione czyszczenie. W czasie spieki zmywać zwierzę co tygodnia a nawet i częściej.

Stanisław Nowiński.

Zwierzęta

w podaniach, życiorysach, i pamiątkach.

(Ciąg dalszy).

Puścili się natychmiast z Drydenem do lasu uzbrojeni w siekiery i zaledwie uszli kilkadziesiąt kroków, ujrzeni Dragona okrytego ranami i znaczącego kroki swoje strugami krwi. Po tym śladzie doszli wkrótce do miejsca spotkania. Na ziemi leżało trzech rozbójników: dwaj już martwi a trzeci, ciężko poraniony, dogorywał. Czwarty i piąty obdzierali towarzyszy z tego co mieli na sobie. Dwaj ostatni, ujrzawszy Drydena w towarzystwie uzbrojonych ludzi, zaczęli uciekać w gęstwinę, ale drwale dogonili ich i schwytali. Oddani w ręce sprawiedliwości ponieśli zasłużoną karę. Dragon pomimo pielęgnacji lekarskiej i najusilniejszych starań pana zdechł w miesiąc później, jednakże nie z ran zadanych mu kulami pistoletowymi i szpadami, bo się zagoiły. Dobiło go zapalenie szyi od ściśnięcia sznurem, którym zbójcy chcieli go udusić.

Było i unas nie mało psów, które panom swoim ocaliły życie w podobnych okolicznościach. Wprawdzie rzadko miały sposobność walczenia z rozbójnikami, gdyż zresztą u nas nie było ich tyle co w krajach zachodniej Europy i nasi nie byli tak zuchwali, lecz zato przyszło nieraz psom polskim bronić panów swoich wśród większego jeszcze niebezpieczeństwa, bo w bojach z Tatarami. Podanie o jednym takim psie głośne było jeszcze za czasów ks. Siarczyńskiego, który też umieścił je w swoim Obrazie wieku Zygmunta III. Było to w Bitwie z Tatarami pod Sulczyńcami na Podolu w r. 1617. Rycerstwo polskie rozbiło już kosz tatarski, wróg poszedł w rozsypkę, ale i rozpierzchli hultaje byli jeszcze niebezpieczni. Dwóch Tatarów obskoczyło Derszniaka, który się sam jeden zadaleko

zapędził za uciekającymi. Jednego tęgim nożem tak rąbnął, że spadł z konia i ani ziewnął, ale za to drugi wysadził z siodła Derszniaka i nim się biedaczysko dźwignął, Tatar przyniółł go kolanami i dusił chcąc go ująć w tyle. Na szczęście pies Derszniaka, towarzysz nieodstępny na wojnie, był niedaleko Ujrzawszy pana w niebezpieczeństwie, przyskoczył z tyłu i złapał Tatara za kark zębami tak dzielnie, że ten wrzasnąwszy z bólu puścił polskiego rycerza. Natenczas Derszniak zerwawszy się na równe nogi, obalił Tatara, łeb mu roztraskał a dopadłszy swego konia, tatarskiego za cugle ująwszy, z tą niewielką ale chlubną zdobyczą popędził do swoich. Za powrotem do domu sprawił psu złotą obróż i hodował go do śmierci z największą pieczołowitością i wdzięcznością, jako swego wybawcę.

Fryderyk W. król pruski trzymał zawsze po trzy i cztery ry charty, z których jeden był faworytem a dwa inne służyły do tego, żeby faworyt miał się z kim bawić. Faworyta miał zawsze koło siebie, brał go do łóżka i karmił własną ręką. Fryderyk utrzymywał, że psy przywiązywały się do niego bardziej niż ludzie i dlatego je tak kochał nawzajem. Zdechłe kazał grzebać na kwasie w Sanssouci i podobno powiedziec miał raz, że radby spoczywać między nimi. C. d. n.

Przystąpili do Towarzystwa : P. T. Wanda Maślankowa i Witold Skarbek Malczewski we Lwowie,

Kalendarzyk łowiecki. W sierpniu wolno polować od 1. na jelenie, rogacze, przepiórki, dzikie gołębie, dropie i karliny, ptactwo błotne i wodne, od 15 zaś na kuropatwy i bażanty. — Nie wolno sprzedawać żadnej innej zwierzyny.

DLA MŁODSZYCH.

Dodatek do Miesięcznika Galic. Tow. ochr. zwierząt Nr. 7. i 8. z r. 1913.

Marja Mazurkówna.

Żórawie.

Z echem żałośnym w smętnym odlocie,
Ciszą wieczoru, na sinem tle,
Tuląc tęsknicę w chłodnym gwiazd złocie,
Stado żórawi w głuchą dal mknie.

Lecą, jak blade szczęście zgasłych cienie,
Jak pierzchające rankami sny,
Po których w sercu zostaje drżenie
Tajemnych pragnień — srebrny kwiat łzy...

Czemuście smutne dziś ptaki moje?
Czemu w wołaniu waszem drży żal?
Wszak odchodzicie w słoneczne zdroje
Z mroków ojczyzny mojej, by z fal

Promiennych cudną, słoneczną mocą,
Powrócić z szczęściem wiośnianem znów — —
Ach! miłujecie kraj ten gdzie nocą
Nieraz płacz ludzki budził was z snów...

Smętne żórawie — ptaki serdeczne!
Weźcie dziś z sobą w słoneczny kraj,
Hen — ponad morza piękno odwieczne
I duszy mojej prześniony maj...

Bezbrzeżnie bowiem życiem zmęczeni,
Widząc odlotu waszego ból —
Pojęli ludzie, iż wśród trosk cieni
Nietylko człowiek jest cierpień król...

Więc lećcie — niechaj tęsknoty szlaki
W cudną, tęczową wiodą was dal,
Po radość życia — żegnajcie ptaki
Gnane wszechmocą nieznaných fal...

Janina Kossak-Pełęńska.

Jak moja psina była kotem.

Ona nazywała się Maugli, co po indyjsku znaczy żabka, i była śliczną czarniutką ratlerką — on nazywał się Widzimiś i ze swoją puszystą sierścią i okrągłą, pełną głową o bystrych zielonych źrenicach był wspaniałym okazem ulubionych przeniecznie kotków burusiów.

Poznali się w nader młodocianym wieku, ona zaledwie dwa, on cztery czy pięć miesięcy liczył.

Kiedy ona weszła w mój dom, nieśmiała i trwożliwa, po rozłączeniu z matką jeszcze żałośnie skomlęca, on już posiadał w nim pełne prawo obywatelstwa — był z nami wszystkimi w zażyłej przyjaźni, posiadał już ulubione miejsce na te pełne wdzięku dolce far niente, w których wyrafinowanym artyźmie jeden kot przewyższa Włocha.

Jednem słowem, gdy ona stawała u progu życia zupełnie jeszcze nieświadoma, nieurobiona, on miał już pewien swój zdecydowany charakter, sporą dozę doświadczeń i obserwacji i dosyć już znaczną świadomość swego przeznaczenia i stanowiska w życiu.

Ciekawa byłam jak się ułoży ich stosunek i jakie będzie pierwsze ich spotkanie. Bałam się, żeby nie poszli w kierunku nienawiści rasowej... Należało temu zapobiedz.

Widzimiś był nader inteligentny; zazwyczaj mówiłam do niego jak do człowieka, ilustrując tylko moje słowa wymownymi gestami i silnymi kontrastami w barwie głosu.

I teraz więc zawołałam Widzimisia a ukazując mu drżące ze strachu psiątko, rzekłam dobitnie akcentując: — Popatrz Widzimisiu, to jest Maulikuńcia, maleńka psinka, którą masz kochać jak siostrzyczkę, nie drapać jej, ani żadnej krzywdy jej nie robić, boby cię pani wybiła i wyrzuciła precz.

Przy pierwszych słowach głąskając oboje czule ręką, potem pogroziłam Widzimisowi a przybierając ton ostry wskazałam w kierunku drzwi, co on już zrozumiał z okazji edukacji w innym kierunku.

Po tej przemowie odstąpiłam i zajmując stanowisko obserwacyjne, pozostawiłam im swobodę ruchu.

Moje psiąteczko zaczęło skamleć, głupiutkiemi oczkami patrząc na nieznanie sobie stworzenie. Widzimiś natomiast patrzył na nią długo, bacznie i bystro — potem zadarł ogon, wyprężył się i sierść najeżył.

— Groźny znak...

Toż gotowałam się już do odsieczki... Ale nagle Widzimiś, jakby się inaczej namyślił, zwolnił sprężone ciało... przeciągnął się leniwie i obwąchał małe stworzonko... Potem przysiadł tuż przed nim i zaczął się mu pilnie przypatrywać.

Po chwili, jakby już zbadał o co mu chodziło, zarzucił psince przednie łapki na szyję i zaczął ją zapalczywie lizać po uszkach, główce, mordeczce, swoim ostrym języczkiem.

Maulikuńci operacja ta przypadła widać wcale do smaku — może przypomniawszy jej starania matczyne — dość, że przysiadłszy również na tylnych łapkach, poddawała się jej bez oporu, mrużąc oczęta, błyszczące jak główki od szpilek.

Widzimiś po jakimś czasie przerwał swą czynność, przyglądając się psinie bacznie ze wszystkich stron a potem jakby osądziwszy, że jeszcze nie jest dość czysta, zaczął swą skrzętną pracę da-capo.

I od tej chwili stosunek przyjazny stał się faktem dokonanym. Widzimiś objął rolę najczulszej, najtroskliwszej psiantki i guwernantki Maulikuńci. — Nie opuszczał jej ani na chwilę, interesował każdą jej czynnością, biegł na wyskoki, gdy pisała, czy zaszczekała... Codzień po kilka razy musiała się poddawać wyżej opisaney ablucji, przy której Widzimiś zawsze po kilkakroć przystawał, przypatrywał się swemu dziełu a osądziwszy je jeszcze za mało doskonałym, brał się na nowo sumiennie do pracy. — Maulikuńcię to nieraz zdudziło.. wtedy ziewała i odciągała główkę.

Lecz nie uchodziło jej to bezkarnie... dostawała od schludnego opiekuna dobrodusznego, niebolesnego klapsa i rzecz szła dalej swoim trybem.

Widzimiś nie tylko dbał o fizyczne potrzeby swojej pupilki, ale niemniej troskliwie zajął się jej edukacją. — Wtajemniczał ją niezmiernie we wszystkie arkana kociej mądrości.

Musiła więc wysiadywać godzinami, cierpliwie i bez ruchu, przed mysią dziurą — czaić się chytrze rozpostarta, prawie niewidzialna na ziemi, by potem jednym błyskawicznym skokiem dopaść do upatrzonego celu — bawić się i igrać z upolowaną myszką, by ją po skończonem igrzysku zadusić i jako trofeum zanieść na dywanik przed moje łóżko, jak to było zwyczajem Widzimisia

Jednem słowem pod światłym kierunkiem swego mentora wykierowała się na najporządniejszego kota w psiem cielem.. I poczuwała się do zupełnej przynależności do kociego rodu. Natomiast w obec psów zachowywała się wrogo a gdy parę razy ktoś znajomy przyprowadził ze sobą psa, stawała z nim do walki wraz z Widzimisem, podnosząc po kociemu grzbiet i okrążając go boczkiem z charakterystycznym prychnaniem.

Tak to wychowanie wzięło górę nad atawizmem rasowym.

Z kotów znała Maulikuńcia, jak dotąd, tylko Widzimisia.

Nadeszła wiosna.. Maulikuńcia, licząca wtenczas blisko pół roku, była ciągle jeszcze najzagorzalszym kotem w psiem cielem.

Za pierwszym ciepłym powiewem Maulikuńcia poczuła pęd ku budzącemu się życiu, potrzebę ruchu, wyżycia się i wybijania na wolnem powietrzu. Wśród podskoków i pisków radosnych wybiegła na dziedziniec..

Tu spostrzegła wielkiego kota z sąsiedztwa.

Pełna ufności i wesela poskoczyła pędem ku niemu z przyjacielskiem powitaniem..

Aliści kot, nagle zaskoczony przez reprezentantkę wrogiej sobie rasy, zupełnie zapoznał przyjacielską intencję, najeżył groźnie sierść, miauknął i całym snopem śliny prychnął w oczy, nic złego nie przeczuwającego zwierzątka. Nie poprzestawszy na tem, z błyskawiczną szybkością wymierzył Maulikuńci kilka siarczastych policzków a nakoniec zagłębił jej wszystkie pazurki w oczka, pyszczek i główkę... poczem, sam krzywdziciel i sprawca zamachu dał drapaką przez płot, plując i miaucząc przeraźliwie, jakby to właśnie jego kto ze skóry obdzierał..

Nikt nie zdoła opisać bezgranicznego zdumienia, ogłupienia psiny na to wrogie wystąpienie istoty, uważanej dotąd za blizką, pokrewną...

Zdumienie to było tak wielkie, że zagłuszyło w pierwszej chwili nawet uczucie bólu... ale gdy wreszcie skomlenie wyrwało się jej z gardła to było ono tak żałosne jak skarga za krzywdę — jak ból pierwszego rozczarowania — echo zburzonych wier...

Podwinąwszy ogonek, skulona, biegła do domu. Aliści już Widzimiś, usłyszawszy skowyt swej pupilki spieszył do niej strwożony...

Ujrzawszy go Maulikuńcia, zaczęła nagle ujadać z nieznaną jej dotychczas psią zjadłością i rzuciwszy się na niego jęła go szarpać i termosić za futerko, ostrymi ząbkami dobierając się mu nie na żarty do skóry.

Teraz kolej zdumienia przeszła na Widzimisia... Jednak miłość jego dla psiny była tak wielka, że choć z natury był bardzo waleczny i nie ustąpił nawet wielkim brytanom — Maulikuńci ani nie tknął, tylko w jej obrotach darł się rozpaczliwie.

Nadbiegłam i skarciwszy Maulikuńcię, uwolniłam ze srogiej obieży niewinną ofiarę swej miłości i najlepszych chęci.

Niebawem zgoda między nimi została przywrócona. Niemniej owa scena z obcym kotem stała się dla Maulikuńci tym przełomem, tym momentem uświadomienia, w którym po raz pierwszy uczuła się psem, zrozumiała łącznik ze swoją rasą i jak na porządnego psa przystało, wypowiedziała wojnę całemu rodowi kociemu, z wyjątkiem Widzimisia.

Ciekawość u zwierząt.

(Ciąg dalszy).

Dobrym sposobem podniecenia ciekawości zwierząt jest podsuwanie im zwierciadła. Pewien przyrodnik postawił raz na stole małe lusterko, przy pomocy którego rysował na drzewie z natury negatywny obraz przedmiotów, które go zajmowały. Kot, ujrzawszy się w tem lusterku, usiłował kilkakrotnie zdać sobie sprawę z tego zjawiska. Gdy nie udało mu się dosięgnąć

owego kota, powiedział sobie widocznie, że musi być coś co go od niego dzieli; przybliżając się tedy chyłkiem, a nie spuszczać z oka odbicia w zwierciadle, wymierzył cios łapą za lusterko. Wielkie było jego zdumienie, gdy przekonał się, że uderzył łapą w próżnię i dopiero po licznych próbach tego samego rodzaju, zrezygnował z odnalezienia klucza tajemnicy, bądź dlatego, że czuł, iż jest to zadanie nad jego siły, bądź, że przestał się tem interesować.

Małpy są również bardzo zabawne przed lustrem.

„Umieściliśmy — powiada p. Hachet - Souplet — w pokoju, gdzie znajdowała się małpa, wielkie zwierciadła, stojące na posadzce, w których zwierzę mogło przyglądać się dowoli. Po kilku tygodniach małpa zrozumiała doskonale tożsamość ruchów odbicia i własnych; bawiła się tem i przybierała dziwaczne pozy. Oglądała z upodobaniem swoje zęby, język, gardło. Wiedziała najwidoczniej, że ma przed sobą odbicie postaci własnej i już nie próbowała, jak początkowo, chwycić tego, co zrazu uważała za inną małpę“.

* * *

Na ogół zwierzęta pozostają obojętne wobec portretów, nawet osób, które im są drogie i których podobieństwo powinnoby ich uderzyć. Wszelako, ponieważ niema reguły bez wyjątku, przeto zdarza się, że pies poznaje osobę na portrecie. Oto, co opowiada o tem pewien przyrodnik;

„Pewnego dnia przyniesiono mój portret, a mój stary pies, który był obecny w chwili, gdy podnosiłem zasłonę, zaczął się przyglądać ciekawie portretowi, chociaż nikt mu nie powiedział słowa, żeby zwrócić jego uwagę. Niebawem pies zaczął okazywać niepokój, skowyczał, usiłując drapać i lizać portret słowem okazywał takie wzruszenie, że jakkolwiek znaliśmy jego inteligencję, niemniej byliśmy tem zdumieni: trudno nam było uwierzyć, że zwierzę poznało, iż to mój portret, ale gdy powiesiliśmy go w salonie, przekonaliśmy się niebawem, że tak jest istotnie. Korzystając z tego, iż drzwi pozostawiono otwarte, pies wsunął się do pokoju i niebawem rozległo się znów skowyczenie; weszliśmy tedy za nim i ujrzeliśmy go stojącego na krześle i usiłującego dosięgnąć portretu“.

„Przed kilku laty — opowiada jedna z korespondentek czasopisma angielskiego „Nature“ — mąż mój wezwany do Indji, zostawił w Londynie do oprawy swój portret, malowany

przez Phillipsa. W dwa lata później przyniesiono mi portret, który kazałam narazie postawić na posadzce i oprzeć o kanapę w salonie. Mieliśmy wtedy prześlicznego psa, gorgona setra; czarny był, podpalany i byliśmy z niego bardzo dumni. Skoro tylko wszedł do salonu, poznał swojego pana, którego nie widział od lat dwóch, podszedł do portretu i zaczął lizać twarz. Gdy opowiedziano to Phillipsowi, malarz oświadczył, że jest to największa pochwała, jaką w życiu swoim otrzymał.

(D. n.)

Miscellanea.

Płoszenie się koni. Jeżeli koń się płoszy za zbliżeniem się do jakiegoś przedmiotu, to nie należy go za to karać, ale przeciwnie należy wstrzymać i dozwolnić mu, ażeby się przypatrzył przedmiotowi, który go nabawił strachu, przy tem przemawiać do niego łagodnie dla uspokojenia. Koń po rozpatrzeniu się, przekonawszy się, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, uspakaja się w krótkim czasie zupełnie. Gdyby natomiast w takim wypadku użyto bicia, jak to najczęściej czynią nasi woźnicy, to skutek będzie ten, że koń w przyszłości, gdy spotka się z przedmiotem mu nieznanym, który go przejmuje strachem, odrazu zaczyna unosić, bo zapamiętał dobrze, że w takich wypadkach otrzymywał karę.

Kret należy do najpożyteczniejszych dla rolnictwa zwierząt, o czem dotąd nie wszyscy na wsi wiedzą i zamiast ochraniać krety, niszczą je nieopatrnie z wielką dla gospodarstwa szkodą. Kret żywi się tylko i wyłącznie pędrakami, robakami, glistami, owadami ziemnymi itp., tj. głównie szkodnikami naszych ziemioplodów, a że odznacza się niezwykle żarłocznością i żeruje przez cały rok, nawet w zimie, łowiąc zdobycz, więc ilość zjedzouych przez jednego kreta wrogów rolnictwa idzie w tysiące. Dość powiedzieć, że dzienna strawa kreta często przenosi dwukrotnie ciężar jego ciała, obliczono zaś na podstawie doświadczeń, że jeden kret pożera w ciągu roku 11 tysięcy pędraków.

66 krów zabitych od pioruna. Niezwykły wypadek zdarzył się 22. lipca w Brodku pod Żórawnem na Górnym Śląsku.

W czasie dojenia krów rozpętała się straszna burza z piorunami. Piorun uderzył w oborę i zabił większą część krów. Kilkanaście krów, których piorun nie dosięgnął, udusiło się od żaru i dymu z zapalonego siana. Powstała straszna panika. Służba zajęta dojeniem rzuciła się do ucieczki i ocalała. W krótkim czasie z obory pozostała kupa zgłiszcz dymiących i szkieletów zwęglonych po 66 krowach. Szkoda materialna znaczna, gdyż tylko połowa krów była ubezpieczona.

Konserwatorjum dla ptaków. Profesor Conradi chcąc przekonać się, jak wielki wpływ wywiera otoczenie na istoty żyjące, robił doświadczenia na ptakach. Okazało się, że naturę ptaka da się łatwo zmienić, potrzebna na to tylko zmiana warunków i otoczenia i odłączenie zupełne od spółziomków.

Profesor Conradi miał wróbla w pierwszym dniu po wykluciu się z jajka i oddał go na wychowanie do klatki kanarka samicy. W tym samym pokoju było jeszcze ze dwadzieścia kanarków. Z początku wróbel ćwierkał tak jak wróble. Po pewnym jednak czasie przestał ćwierkać i zaczął gwizdać jak kanarek — wkrótce śpiewał tak jak kanarki i trudno było odróżnić śpiew jego od śpiewu kanarków.

Do tego samego pokoju profesor wstawił klatkę z kilkotygodniowym wróblem, który ćwierkał jak prosty wróbel — po kilku jednak tygodniach wróbel zaczął naśladować swoich towarzyszy więziennej niedoli. Z początku śpiewał głosem zachrypniętym i nie mógł wydobyć z gardziółka wysokich tonów. Po pewnym czasie i dłuższej pracy nad wyrobieniem głosu, wróbel osiągnął nadzwyczajne rezultaty i śpiewał prześliczne melodie lepiej, niż jego towarzysze.

Wówczas profesor przeniósł śpiewające wróble do innego pokoju, gdzie z ogrodu dolatywało ćwierkanie wróbli. Po kilku tygodniach wróble śpiewały jak kanarki i głos ich nie stracił nic na swej czystości, lecz pod koniec szóstego tygodnia zaczęły tracić głos i umiejętność śpiewu, a powoli wróciły do dawnych przyzwyczajeń jak pospolite wróble.